

Wykopywanie pogrzebanego psa

21 listopada 2016

Apartheid wciąż zbiera w RPA polityczne żniwo. Malema straszy rabacją, ubierając ją w szaty rewolucji społecznej. Szykuje się powtórka z Zimbabwe?

Przywódca partii Bojowników o Wolność Ekonomiczną (EFF – Economic Freedom Fighters) Julius Malema wezwał jej członków, aby zajmowali ziemię należącą do białych mieszkańców Republiki Południowej Afryki. Malema wygłosił swój apel przed sądem w Bloemfontein, który miał rozpatrywać sprawę przeciwko niemu właśnie o podżeganie do zajmowania cudzej własności. „Kiedy spodoba się wam jakiś ładny kawałek ziemi i zechcecie go mieć, bierzcie go, bo należy do was... Ta ziemia została nam odebrana przez białych za pomocą siły i ludobójstwa” – obwieścił swoim rozentuzjasmowanym zwolennikom.

SIŁA GNIEWU

Powstała przed trzema laty partia Malemy – niegdyś przywódcy młodzieżówki Afrykańskiego Kongresu Narodowego, który poróżnił się z obecnym kierownictwem ANC – wbrew nazwie nie jest wcale organizacją libertariańską. Swoją popularność buduje na radykalnych społecznie hasłach nacjonalizacji oraz na walce z korupcją i nadużyciami władzy przez rządzących. Jej zasługą w znacznej mierze było doprowadzenie do procesu prezydenta RPA Jacoba Zuma w sprawie o wydanie publicznych pieniędzy na rozbudowę swojego prywatnego rancza w Nkandla w rodzinnym stanie KwaZulu-Natal.

Departament skarbu uznał wprawdzie, że z ok. 23 mln dolarów wydanych na prace w Nkandla, Zuma miałby oddać tylko ok. 530 tys., co niedwuznacznie wskazuje, iż – odmiennie niż wymiar sprawiedliwości – administracja postanowiła potraktować prezydenta łagodnie, niemniej jednak cała sprawa była gigantyczną kompromitacją i Zuma, i rządzącej elity. Po

niedawnym ujawnieniu raportu o korupcji, wskazującego na bliskie kontakty prezydenta, jego rodziny i najbliższego otoczenia z rodziną indyjskich multimilionerów, Malema domagał się wotum nieufności dla prezydenta. Zumie upiekło się po raz kolejny (było to już trzecie takie głosowanie w ciągu roku), gdyż ANC nadal dysponuje przytłaczającą większością w południowoafrykańskim parlamencie i w takich sytuacjach woli zewrzeć szeregi i bronić swojego lidera nawet wbrew oczywistości. EFF rośnie jednak w siłę – w wyborach w 2014 r. zdobyła w parlamencie wprowadzić tylko 25 z 400 mandatów, ale już w tegorocznych wyborach samorządowych w kilku ważnych okręgach (m. in. w Johannesburgu) uzyskała silną pozycję, nie taką wprowadzić, aby mogła samodzielnie opanować administrację, ale wystarczającą, aby stać się kluczowym partnerem, bez którego żaden koalicyjny układ nie byłby możliwy. Teraz jednak Malema skierował się ku kolejnemu celowi – nie chodzi o odsunięcie prezydenta Zuma, z którym EFF załatwia się „przy okazji”, ale o sprawę ziemi. Wątek redystrybucji majątku pojawiał się już wcześniej w wypowiedziach lidera EFF – jednej z nich, z 2014 r., dotyczy właśnie toczący się w Bloemfontein proces, a podobne – jeszcze w kilku innych miastach- dotąd jednak nie został on nigdy postawiony w sposób tak silny – jako główny, strategiczny cel organizacji.

ZAMACH NA FUNDAMENTY

Poruszając kwestię własności ziemi, Malema czyni krok podważający fundamenty postapardheidowej RPA. Na początku lat 90. ubiegłego wieku, gdy apartheid był sukcesywnie rozmontowywany, kierowany przez Nelsona Mandelę ANC zrezygnował z dawnych radykalnych postulatów, odżegnał się od związków z komunistami, uznał niepodważalność własności prywatnej. Był to wówczas poniekąd efekt ewolucji w ramach samego ANC, uznającego, że lepiej się dogadać z białymi elitami i doprowadzić do przejęcia władzy bez rozlewu krwi – bo wiadomo było, że te są skłonne zgodzić się oddać władzę, przywileje i zrezygnować z doktryny „osobnego rozwoju” i

rasowej segregacji, ale stanu posiadania bronić będą za wszelką cenę. Był to też czas, gdy ANC działało w zmienionym klimacie międzynarodowym – nie istniał już dawny sojusznik ANC – Związek Radziecki, europejska lewica poszukiwała „trzeciej drogi”, zdecydowanie nierewolucyjnej, ale nakierowanej na zdefiniowanie swojego miejsca w kapitalistycznym świecie, którego zasady przestała podważać. Był to czas „rewolucji aksamitnych”, dokonywanych w imię liberalizmu. Czas, kiedy wypadło naiwnie uważać, że wystarczy usunąć opresyjny reżim, a wszystko ułoży się jak najlepiej – kierowane niewidzialną, lecz nieomylną ręką rynku, która wesprze prawych, a pognębi występnych. W konsekwencji Południowa Afryka miała stać się państwem wielorasowym, a nie państwem czarnych, którzy pokonali i wywłasczyli białych kolonizatorów, państwem kapitalistycznym, a nie rewolucyjnym.

Gdy Kongres wygrał wybory powszechne w 1994 r., które przyjęło się uznawać za definitywny koniec apartheidu, harmonia „tęczowego społeczeństwa” zafunkcjonowała. Część białych, obawiając się odwetu i czarnego rasizmu, zdecydowała się opuścić RPA, większość jednak pozostała, godząc się na nową sytuację. Zwycięski ANC nie zmienił stanowiska i nie naruszał ani własnościowego status quo, ani nie podejmował jakichkolwiek kroków, które można interpretować jako posługiwanie się kluczem rasowym. Wielką pracę wykonała kierowana przez arcybiskupa Desmond Tutu Komisja Prawdy i Pojednania, której celem było rozliczenie zbrodni okresu apartheidu bez budzenia antagonizmów rasowych. Czarni Południowoafrykańczycy znaleźli drogę do administracji i biznesu, partie polityczne – nie tylko rządzący nieprzerwanie przez ponad 20 lat ANC, ale i nowe siły polityczne stały się autentycznie wielorasowe, zbudowane wokół programów w żadnej mierze nie przywołujących klucza etnicznego. Rasistowskie ekstremiści chcący prowadzić walkę o „domenę białego człowieka”, traktowani tak przez czarnych, jak i przez białych, jako element szkodliwy, stali się politycznym marginesem. Projekt, w którym jeszcze niewiele lat wcześniej

nikt nie byłby w stanie uwierzyć, stał się rzeczywistością.

„I dalej wszyscy żyli długo i szczęśliwie” – chciałoby się powiedzieć, ale, Jak widać, tak się jednak do końca nie stało. Pogłębiający się sukcesywnie kryzys gospodarczy RPA, który stanowi temat wykraczający poza te rozważania, ale który coraz dotkliwiej odczuwany jest przez jej mieszkańców i chciwość uważającej się za niezastąpioną nowej elity władzy, w której tymczasem także dokonała się zmiana pokoleniowa, a dawnych bojowników o sprawę zastąpili nierzadko sprawni apartacyzcy i politykierzy. ANC u początków nowego obiecał mieszkańcom RPA wiele, spełnił nie tak dużo. Co więcej – jeśli w jakiejś mierze zaspokojone zostały ambicje i aspiracje czarnej klasy średniej (nie mówiąc o tych, którzy szybko dotarli na same szczyty społecznej drabiny), sytuacja najuboższych praktycznie się nie zmieniła. Wyjąwszy może to, że dawniej mogli obwiniać za swoje ubóstwo i marginalizację apartheid, dziś – wyłącznie podziały klasowe. Ale, jako że lewicy już praktycznie w południowoafrykańskim dyskursie politycznym nie ma (ANC jest partią lewicową tylko nominalnie), terminu klasa także raczej się nie używa. W tej sytuacji rosnące niezadowolenie społeczne kanalizuje się nie tylko przeciwko skorumpowanym nowym elitom, ale także przeciwko podziałowi majątku. A równocześnie – przeciwko fundamentom, na których Mandela i jego współpracownicy stworzyli dzisiejszą RPA. Kości psa, który został pogrzebany ponad dwie dekady temu, znów bieleją na słońcu.

ISTOTA SPORU

Apartheid przestał istnieć, zwane przez jego zwolenników „czarnymi państwami” bantustany – enklawy, w których czarni mieszkańcy RPA mieli „rozwijać się osobno” – również, sama kwestia własności ziemi nie została jednak dotknięta. Chodzi zwłaszcza o tak zwany Akt o Ziemi Krajowców (Native's Land Act) z 1913 r., a więc jeszcze z czasów panowania brytyjskiego, który ustalał zasady nabywania i własności ziemi w ówczesnym Związku Południowej Afryki. Zgodnie z nim

„krajowcy” – czyli czarni – mieli posiadać tylko 10 proc. (potem hojnie powiększono ten przydział do 13 proc.) całego obszaru kraju. Inspirowany rozwiązaniami ze Stanów Zjednoczonych i Australii Akt miał zasadnicze znaczenie dla całej przyszłości Południowej Afryki – w teorii miał dać czarnej ludności rezerwy, w których miała żyć „po swojemu”, w praktyce jednak nie tylko ignorował oczywisty fakt, że w warunkach interakcji między czarnymi społecznościami a białymi osadnikami i rodzącym się przemysłem niemożliwe było utrzymanie tradycyjnego, dawnego modelu funkcjonowania tych pierwszych – ale także znikomy rozmiar tych terytoriów powodował ich przeludnienie, dostarczając kopalniom i farmom najemnych robotników, traktowanych jako w praktyce „obcokrajowcy”, a zatem pozbawionych praw obywatelskich i gotowych do pracy za minimalne stawki. Na ich wyzysku wyrosła największa potęga gospodarcza Afryki, budząca zachwyt swoją siłą wśród zwolenników dominacji białej rasy, którzy raz po raz wskazywali na nią, z dumą porównując ją ze słabo radzącymi sobie gospodarczo niepodległymi państwami Czarnej Kontynentu. „Patrzcie, jak by wyglądały, gdyby tam też rządzili biali!” – mówili.

Ideolodzy afrykanerscy uważali zresztą, że Akt był całkiem hojnym potraktowaniem czarnej ludności. Po pierwsze dlatego, że do początków XIX w. na terenach interioru obecnej RPA żyły głównie nieliczne grupy ludności Khoikhoi dawniej nazywanych Hotentotami, nie należącej nawet do rasy czarnej, ale żółtej, a migracje czarnej ludności Bantu i białych osadników z Przylądka Dobrej Nadziei miały miejsce z grubsza rzecz biorąc równocześnie, a zatem obie grupy nie są ludnością rdzenną, tylko napływową. Gorzej – przed przybyciem białego człowieka Południowa Afryka wcale nie była krajem bukolicznych pasterzy, ale obszarem okrutnych wojen zwanych w tradycji zbiorczo okresem Mfecane, czyli zamętu, wywołanych ekspansją państwa Zulusów pod wodzą Czaki. Dopiero napływ białych położył im kres. Te historyczne argumenty są prawdziwe, dowodzą jednak, że historia i geneza nie tłumaczą nic poza sobą samymi i nie

określają praw – nieważne jest, kto był w piaskownicy pierwszy, ale kto kogo wykorzystał. W latach 90. RPA postanowiła w kwestie afrykanerskiej i bantuskiej polityki historycznej nie wchodzić, ale przy okazji też nie poruszyła sprawy społecznych konsekwencji apartheidu.

Konsekwencje ustawy sprzed ponad stu lat trwają do dziś, choć obecnie każdy może nabywać ziemię, gdzie chce. W miastach i ich rezydencjonalnych satelitach zmiany dokonały się szybko. Tu o prawie do zamieszkania decyduje tylko zasobność portfela i zdolność kredytowa, więc wkrótce po rozmontowaniu apartheidu w dawnych białych osiedlach zaczęli pojawiać się i czarni mieszkańcy. Zamieszkujący je biali najpierw popatrywali na nich podejrzliwie, czy aby to nie jakieś prymitywy i prostacy, którzy będą czynić nocami burdy i gotować sobie śmierdzące jedzenie, którego wonie mogą mieszać się z zapachami braaia – ukochanych przez Afrykanerów grillowanych mięs. Wkrótce jednak ich obecność przestała dziwić i przerażać – różnice koloru skóry okazały się mniej istotne od podobieństw wynikających z przynależności do tej samej klasy. I czarni i biali lubią jeździć takimi samymi mercedesami. Tereny dawnych czarnych gett wokół wielkich miast nadal zostały w większości zamieszkałe przez czarnych. Stały się może bardziej jednolite społecznie, bo powyprowadzali się z nich ci czarni, których było na to stać, a którzy wcześniej nie mogli mieszkać poza nimi. Na wsi także nie nastąpiła zmiana – tam większość ziemi nadal należy do białych farmerów. Teraz, gdy sytuacja ekonomiczna się pogarsza, wielu niezadowolonych i zmarginalizowanych zadaje sobie pytanie: „Czemu oni mają, a my nie mamy”. A dla wielu z nich czasy apartheidu i zawieranego wówczas kompromisu to zupełna prehistoria, bo urodzili się za późno, żeby je pamiętać – około połowy mieszkańców RPA ma mniej niż 24 lata, a ok. 60 proc. – mniej niż 30 lat. To, że dwadzieścia lat temu postapartheidowa RPA nie przeprowadziła ani nacjonalizacji, ani reformy rolnej miało znaczenie wówczas i pozwoliło na płynną transformację kraju. Nowe pokolenie może wcale nie czuć się zobligowane, żeby czuć się związane

historycznym kontraktem zawierany przez przez swoich poprzedników, może uważać, że, zawierając go, poprzednicy zaniedbali dokonać rozliczenia, zadowalając się przywróceniem sprawiedliwości, ale nie wyrównując dawniejszych krzywd. A oznaczać to może, że Południowa Afryka wcale nie uniknęła zapłacenia ceny za dokonanie zmiany systemowej bez przemocy. Może okazać się, że cena za nią nadal musi być kiedyś zapłacona i to z odsetkami za zwłokę – bo, skoro nic nie ma za darmo, także i „aksamitne rewolucje” mogą też nie być.

KU RABACJI

Przedstawiciele głównego nurtu ANC zareagowali na wypowiedzi Malemy natychmiast, mówiąc, że żadnej dyskusji o sprawach redystrybucji ziemi ani innego majątku nie może być i nie będzie. Jest to zupełnie zrozumiałe – przywództwo ANC rozumie doskonale, że podważając ustalenia z lat 90. dotyczące zasad transformacji, Malema dokonuje zamachu na fundamenty państwa stworzone właśnie przez Kongres. ANC ma w tej sprawie za sobą retorykę państwa prawa i za pomocą prawa stara się powstrzymać Malemę i jego zwolenników, ten jednak nie zamierza się poddać, odwołując się znów do sprawy nierozliczenia apartheidu i jego pozostałości. Przeciwko Malemie wytoczone zostało powództwo na podstawie nadal obowiązującego Aktu o Buntowniczych Zgromadzeniach (Riotous Assmblies Act) z 1956 r. – jego odpowiedzią był protest przeciwko samej ustawie, którą określił jako jeden z fundamentów apartheidu. Skądinąd słusznie. Akt ten miał służyć właśnie represjom po zorganizowaniu rok wcześniej w Kliptown Kongresu Ludowego, ale – jak widać – tego rodzaju legislacja może być użyteczna i dla innych władz. Malema ugrywa zatem kolejny punkt dla siebie, bo taka argumentacja, mówiąca o niedokończonej przez ANC rewolucji trafia do jego zwolenników.

Malema jest bardziej znakomitym trybunem ludowym i animal politique niż wizjonerem czy ideologiem. Znakomicie identyfikuje sprawy trafiające do rosnącej liczby jego zwolenników, ale trudno dopatrzeć się w jego działaniach

jakiejś klarownej wizji przyszłości. Nawet kwestia redystrybucji ziemi jest dla niego przede wszystkim nośnym hasłem, a nie propozycją konkretnych rozwiązań. W tym charakterze, zresztą, lepiej się sprawdza jako instrument w jego rękach. Niezadowolenie z rządów ANC jeszcze nie przekroczyło punktu krytycznego, ale może to nastąpić już niedługo – do następnych wyborów jeszcze wprowadzie trzy lata, ale, jak widać to na przykładzie konsekwentnej obrony Zumy przez jego partię, Kongres nie wykazuje ani zdecydowanej woli, ani chyba nie ma dobrego pomysłu na to, jak swój wizerunek poprawić. Jest to dla niego sytuacja zupełnie nowa – dotąd przecież wygrywał wszelkie wybory bez najmniejszego wysiłku. Nawet w ostatnich wyborach municypalnych, uznanych za porażkę i dowód na erozję jego pozycji, zebrał przecież w skali kraju ponad 53 proc. głosów. Rzeczywiste motywacje – wbrew jego retoryce – raczej dotyczą walki z dominującą pozycją ANC niż z dążeniem do wyrównania rachunków z apartheidem. Jest to, przede wszystkim, uderzenie mające odebrać ANC poparcie na wsi, a tam Kongres ma najsilniejszą pozycję: o ile w dużych miastach, wśród klasy średniej, coraz większą popularnością cieszą się liberałowie z Aliansu Demokratycznego (DA – Democratic Alliance), o tyle wieś zawsze masowo głosowała na „partię Mandeli”.

Malema zapowiada, że nie będzie zabijać białych, ani nawoływać do tego. Zadowolili się, jeśli będą traktowani w Afryce jako „goście”. Zwracając się retorycznie do białych posiadaczy, aby oddali ziemię, Malema dodaje, że „nie gwarantuje, co się może stać”. A to można sobie wyobrazić – tylko, że raczej nie w postaci rewolucji społecznej, która faktycznie zajęłaby się kluczowymi, a nie rozwiązaniami satysfakcjonującą przez ANC sprawami, ale powtórką z Zimbabwe, gdzie prezydent Robert Mugabe na pewnym etapie także ukierunkował gniew niezadowolonych biednych w postaci rabacji przeciwko białym latyfundystom, ale nie oznacza to, że w efekcie doszło tam do rewolucji, a jedynie do jej zewnętrznych oznak.

Autorstwo: Grzegorz Waliński

Źródło: Strajk.eu